ROZMAITOŚCI.

Dnia 6. Maja. **№ 18.** **Roku 1857.**

ŻYD WIECZNY.

Powiastka pyrenejska.

Na ławie przed karczmą zasiedli rzędem żonaci, parobcy stojąc otoczyli ich dokoła. Wszyscy palili małe cygara, przemycone z Hiszpanii, i rozprawiali żywo i szeroko o dziwnym wypadku, który od kilku tygodni zajmował niesłychanie mieszkańców dolin pyrenejskich. Śmierć Żyda Wiecznego była rzeczywiście nader ważnem zdarzeniem. Poruszając zarówno umysły młodych i starych, nastręczała ona przedmiot do nieskończonych uwag i rozpraw. Wszakże Żyd Wieczny. o którym mowa, to nie ów nieszczęśliwy, wiecznie wędrujący szwiec jeruzolimski, znany z legendy, ale wcale inna istota, obchodząca w wysokim stopniu góralów pyrenejskich.

Żyd Wieczny było nazwą olbrzymiego niedźwiedzia gór, o którym od niepamiętnych czasów dziwne pomiędzy ludem obiegały wieści. Osłaniał go bowiem urok — jakiejś osobliwszej tajemnicy. Najstarsi ludzie słyszeli o nim jeszcze za swoich lat dziecinnych, a już wtedy zwano go Żydem Wiecznym, bądźto dla niezmiernie podeszłego wieku. bądź dlatego że żadna kula i żadne choćby najostrzejsze żelazo nie mogło go uszkodzić.

Żyd Wieczny nie bał się ani kuli ani noża, i nie odniosł nigdy najlżejszej rany. Najzręczniejsi myśliwi podejmowali napróżno zapamiętałe trudy i zabiegi, aby go ubić lub przynajmniej kroplę krwi utoczyć z jego tułowu. A ileżto razy zdarzyło się, iż kula odbiła się od jego piersi, lub że ją niedźwiedź pochwycił w łapę i odcisnął w czoło strzelcowi, a czasami nawet wyplwał ze wzgardą z paszczy.

Napróżno też próbowano schwytać Żyda Wiecznego w sidła. Najsilniejsze sieci targał jak tkanki pajęczyny, a z najgłębszych dołów wydobywał się jak kret z nory. Nauczeni długoletniem doświadczeniem myśliwi, zaniechali już polować na Żyda Wiecznego. Bo też byłto niedźwiedź wcale łagodny i nieszkodliwy, przebaczający nawet swoim najzawziętszym nieprzyjaciołom. Nieraz udało mu się pochwycić w łapy śmiałka, który z nożem zadaleko się przybliżył, lecz i wtedy nie uniosł się nigdy zemstą. W najgorszym razie uściskał tylko ujętego przeciwnika silnie w swoich olbrzymich łapach, a poszamotawszy nim trochę, puścił go nieuszkodzonego na wolność.

Wszakże mimo te wszystkie doświadczenia, sięgające lat niepamiętnych, znachodził się często jeden i drugi myśliwy, który odważał się jeszcze polować na Żyda Wiecznego. Każdej młodej generacyi myśliwych przyświecała nadzieja upolowania Żyda Wiecznego, co w oczach wszystkich było najwznioślejszym szczytem ambicyi, najpożądańszym przedmiotem życzeń.

I wbrew powszechnemu oczekiwaniu znalazł się wreście myśliwiec, który tak przytrudnego dokazał czynu. Przed kilką tygodniami poległ Żyd Wieczny z ręki Anima, jednego z najmłodszych myśliwców pyrenejskich.

O tymto wypadku rozprawiali tak żywo starzy i młodzi wieśniacy, zgromadzeni przed karczmą sioła.

Słońce usuwa się wcześnie z dolin pyrenejskich, i widać wyraźnie jak noc zwolna wznosi się z padołów i stopniowo pnie się w góry. Już głęboka ciemność pokrywa doliny, kiedy szczyty gór kąpią się jeszcze w promieniach słońca, i lśnią zdala jak gwiazdy na niebie. Wieczory pod górami są daleko dłuższe niż gdzieindziej. Jedyną rozrywkę mieszkańców o tej porze stanowią długie gawędy przed karczmą, wszyscy są kontenci jeśli mają tylko co słuchać; nie biorą też za złe jeśli kto po raz dziesiąty z kolei opowiada jedną i tężsamą historyą. Tak przynajmniej było z sławną historyę o ubiciu Żyda Wiecznego. Opowiadano ją już po raz setny, a przecież wszyscy słuchali jej z zajęciem, i rozprawiali o niej z żywością jakby o rzeczy wcale nowej.

Właśnie unoszono się pochwałami nad osobliwszą odwagą i zręcznością młodego Anima, gdy wtem pojawił się on sam, prowadząc pod rękę swojego przyjaciela Ragona.

Starsi mężowie ścieśnili się na ławie, i na jednym końcu zrobili miejsce dla nowoprzybyłego, a sam wójt zaprosił go aby usiadł. Animo nie usłuchał. Wsparty na ramieniu przyjaciela, pozostał na miejscu, a po chwili spuścił głowę na piersi, i rzekł:

— „Dlaczegoż ja jeden mam usiąść, kiedy wszystka młodzież stoi wokoło? Za coż to mię jednego spotyka taki zaszczyt?"

— „Chcemy cię uszanować, Animo" — ozwał się z ławy jeden z starszych — „bo zachowujesz się uczciwie, szanujesz matkę i nie ociągasz się od pracy."

— „Moja matka, o moja biedna matka!"— szepnął Animo na wzmiankę o niej, a potem westchnął ciężko, i ozwał się po krótkiem milczeniu. — „Inną, inną macie przyczynę. Wielu moich rówienników zachowuje się jeszcze lepiej odemnie, a przecież każecie im stać, jak przystoi młodzianom."

— „Chcesz widzę koniecznie, aby cię chwalono" — odpowiedział pewien sędziwy staruszek z dobrodusznym przekąsem. — „Mniejsza oto, powiem ci prawdę. Ofiarujemy ci miejsce w naszem kole, aby uczcić twoją odwagę i zręczność, aby cię wyszczególnić za ubicie Żyda Wiecznego, za którym najzawołańsi myśliwcy uganiali napróżno od czasów niepamiętnych."

— „Domyślałem się tego!" — jęknął głucho Animo, i siadając nagle na ławę, zakrył twarz obiema rękami.

W zdziwieniu spojrzeli po sobie starzy i młodzi, nikt nie wiedział co sądzić o dziwnym smutku młodzieńca, na którego wszyscy zazdrosnem spozierali okiem. Oniemiało na chwilkę całe zgromadzenie, gdy wtem Animo gwałtownie porwał się z miejsca.

— „Muszę wam raz już wyjawić prawdę!"— zawołał miotany dziką rozpaczą. — „Ja nie zabiłem Żyda Wiecznego!"

— „Co mówisz?!" — krzyknęli wszyscy zdziwieni.

— „Nie zabiłem Żyda Wiecznego" — powtórzył Animo.

— „Ależ przecie sami na własne oczy widzieliśmy go zabitego, a ty jeden tylko goniłeś za nim! Ktoż inny mógłby tego dokazać?"

— „Nie dokazał tego ani ja ani nikt inny" — odparł Animo.

— „Wytłumacz się jaśniej!" — upominali wszyscy jednym głosem.

— „Słuchajcie!" — rzekł smutnie Animo.— „Ja nie zabiłem Żyda Wiecznego, onto mnie zabił."

— „Zamąciło mu się w głowie!" — zawołano tu i tam. — „Żartuje z nas."

— „Cicho!" — krzyknął jeden z starców.— „W tych słowach tkwi jakaś tajemnica. Pozwólcie mu mówić dalej."

— „Słuchajcie mię!" — ciągnął Animo. — „Chcę wam wyjawić tę tajemnicę. Nie jestem już owym Animem, któregoście niegdyś wszyscy znali. Ten Animo już nie żyje, Żyd Wieczny udusił go w swoich łapach. Ja zaś, ja jestem właśnie owym Żydem Wiecznym....."

Zagłuszający śmiech nie dał mu mówić dalej. Wnet jednak uśmierzyła się wesoła wrzawa, gdy z piersi Anima wyrwał się głośny i przerażający jęk, podobny do ryku ranionego nidźwiedzia. Wszyscy umilkli przestraszeni, Animo prawił dalej:

— „Muszę wam wszystko opowiedzieć. Inaczej mnie nie zrozumicie. Siedziałem zaczajony za skałą, gdy Żyd wieczny nadszedł ku mnie. Wymierzywszy dobrze, strzeliłem. Kula trafiła go w samą pierś, lecz odbita jak od żelaza, stoczyła się w mech. Niedźwiedź wzniosł się na tylne łapy i obcesem uderzył na mnie. Nie czekając napadu, poskoczyłem z nożem naprzeciw niemu. Lecz kiedy już miałem utopić mu żelazo w piersiach, niedźwiedź jedną łapą tak silnie uderzył mię po ręce, że nóż wyleciał mi z dłoni. Nie miałem się już czem bronić. Żyd Wieczny pochwycił mię w swoje łapy, i przycisnął tak mocno do piersi, że wszystkie kości zatrzeszczały we mnie, i nagle postradałem przytomność. Byłato moja chwila ostatnia. Martwego już wypuścił mię Żyd Wieczny z swoich objęć. Co dalej ze mną robił, tego oczywiście nie mogłem widzieć. Naraz jednak uczułem iż pomału przychodzę do siebie. I wtedy spostrzegłem, że Żyd Wieczny stoi nademną, i dmucha mi w twarz z pełnej piersi. Kiedy rozwarłem oczy, dmuchnął we mnie po raz ostatni, i padł nieżywy na ziemię. Uczułem aż nazbyt dobrze, że w ciało nieżywego Anima wetchnął niedźwiedź swoją własną duszę. Dusza Żyda Wiecznego ożywia mię dzisiaj, dusza Anima uleciała w inny świat."

Wszyscy słuchacze nie posiadali się z zdziwienia, bo tuż zaraz jakby na potwierdzenie

całego opowiadania wyrwał się ów przerażający jęk niedźwiedzi z piersi Anima.

— „To niepodobna, to urojenie!“ — ozwał się pewien starzec, pragnąc pocieszyć głęboki smutek młodziana.

— „Tak wam się zdaje, bo cała historya nadzwyczajnym odbywa się trybem. Ależ tak jest rzeczywiście. Stary bakałarz jako człowiek uczony odgadł wszystko na pierwszy rzut oka. Tegosamego wieczora, kiedy wracałem z gór spotkałem się z nim na moście. Obszedł mię wtedy zdaleka, i powiedział: Animo, wyglądasz jakgdyby dusza niedźwiedzia wstąpiła w ciebie. Poznał on od razu zmianę jaka we mnie zaszła, a zmianato okropna! Widząc was tutaj przed sobą, czuję jakąś osobliwszą żądze udusić jednego po drugim. Nie czynię tego bo umiem jeszcze powściągnąć tę obcą w sobie naturę. Udaje mi się to dotąd dlatego tylko, iż umarłem bez grzechu, a ciało moje przejęło nieskażone duszę niedźwiedzia.“

Po tem długiem opowiadaniu opamiętali sie słuchacze, a wielu z nich skrzywiło sie do szyderczego uśmiechu. Tylko wójt zachował swoją powagę, i ozwał się po chwili.

— „Wielu ludziom będzie się cała ta historya wydawać zmyśloną, lecz ja jej wierzę, bo już nieraz słyszałem coś podobnego. Dusze zwierząt przechodzą często w ciała zawziętych myśliwców, bo dusze podróżują. Wiedzieli o tem dobrze nasi ojcowie, nam wypadło to z pamięci, bo nic takiego nie stało się za naszych czasów. Ja ci wierzę, Animo, i wyznaję szczerze. że od owego czasu spotrzegałem w tobie różne zmiany nieodgadnione.“

Po tych słowach wójta, nie śmiał już nikt odezwać się z powątpiewaniem. Wszyscy też uwierzyli w historyę Anima, o którym powszechne miano przekonanie że za nic w świecie nie dopuściłby się kłamstwa.

Po wyjawieniu swojej szczególniejszej tajemnicy odetchnął swobodniej nieszczęśliwy młodzian.

— „Lżej mi teraz na sercu“ — rzekł. — „Zawsze się lękałem, abym w moim strasznym stanie nie dopuścił się czegoś, coby mi na zawsze zaszkodziło w oczach waszych, gdybyście nie wiedzieli o wszystkiem.“

Po tych słowach chciał już odejść do domu, lecz wójt zatrzymał go jeszcze na chwilkę.

— „Musisz się dobrze pilnować, Animo, abyś nie stał się powodem jakiego nieszczęścia“ — rzekł mu z upomnieniem. — „Jeśli w czemkolwiek mógłbyś potrzebować naszej pomocy, tedy zażądaj jej śmiało, a pewnie nie zasmucisz się odmowną odpowiedzią.“

— „O, jeśli tyle znachodzę u was współczucia, tedy niech się jeden z was ulituje nad moim stanem, i zastrzeli mię na miejscu, aby dusza niedźwiedzia ustąpiła z mego ciała.“

Nikt nie ważył się odpowiedzieć na to żądanie. Dopiero wójt ozwał się po chwili:

— „To nie uchodzi, dopóki masz ludzką postać na sobie. Poczytanoby to nam za zbrodnię, i ukarano surowo, bo urzędnicy w departamencie nie uwierzyliby przenigdy w twoje opowiadanie.“

Animo wzruszył ramionami, i biorąc pod rękę swojego przyjaciela Ragona, oddalił się wolnym krokiem ku siołu.

— „Teraz kiedy pozbyłem się już tej tajemnicy nieszczęsnej, oddecham swobodno jak niegdyś w dawnym stanie“ — rzekł wśród drogi. — „Pójdźmy do Rezy, ona będzie zapewne już spała, lecz ją wypukamy. Muszę z nią pomówić, bo wielką uczułem ulgę, a to ją ucieszy. Biedna Reza! jak namiętnie kochała Anima. Bądź ciągle przy moim boku, Ragonie, bo widząc Rezę chciałbym ją zawsze pochwycić w moje objęcia, a czuję, że to stałoby się nieszczęściem. Czuwaj nademną, drogi przyjacielu, a jeśli nie usłucham twoich upomnień, zadaj mi bez wahania cios śmiertelny.“

Ragon przyzwolił na wszystko skinieniem głowy.

Nazajutrz odprawiono w wiejskim kościołku mszę świętą za duszę Anima. Stało się to za radą wójta i bakałarza który pierwszy odgadł tajemnicę nieszczęśliwego myśliwca.

Animo sam, czyli raczej postać nosząca obecnie jego nazwisko, stał przy drzwiach, i spoglądał z rozczuleniem, jak szczerze modlili się wszyscy za jego dawną duszę. Po skończonej mszy ścisnął każdego za rękę, bakałarzowi i wójtowi podziękował z wylaniem, a matkę ucałował ze łzami w oczach. Biedna kobieta uspakajała go jak mogła, przysięgając że dopóki on nosić będzie postać Anima, będzie go kochała zawsze jak rodzonego syna.

Lękając się ustawicznie, aby w obcowaniu z ludźmi nie stał się powodem jakiego nieszczęścia, opuścił Animo zaraz po mszy swoją wieś rodzinną, i przebywał odtąd w lasach i górach.

Niebawem poprzestano o nim mówić we wsi, bo lękano się jakoś odświeżać tę smutną a straszną historyę.

*

Wtem pewnego południa wrócił Ragon z polowania z zgrozą i rozpaczą w twarzy. Latał od domu do domu z dzikim krzykiem, rwał włosy z głowy, tarzał się po ziemi jak szalony. W jednej chwili zgromadziła się cała wieś wkoło niego; a naglony pytaniami wszystkich znajomych musiał wyjawić Ragon przyczynę swojej dzikiej rozpaczy.

— „Zabiłem Anima!“ — zawołał, załamując ręce.

— „Jakto zabiłeś twego najlepszego przyjaciela?“ — zapytali wszyscy przerażeni.

— „Wyszedłem dziś na polowanie“ — opowiadał Ragon — „i tylko co zapuściłem się w głąb lasu, gdy wtem z dzikim rykiem wypada na mnie niedźwiedź, podobny wielkością do Zyda Wiecznego. Miałem zaledwie tyle czasu, aby sięgnąć po nóż, i utopić go po samą rękojeść w gardziel zwierza, który waląc się na ziemię, przybrał naraz postać człowieka, postać mego Anima.“

Skończywszy opowiadanie pobiegł Ragon co tchu nazad do lasu, a cała wieś wyruszyła za nim. W głębi boru pod drzewem, w które niedawno piorun uderzył, leżał trup Anima z szeroką raną w gardle.

Długo przerażeni wieśniacy z niemem współczuciem przyglądali się znajomym rysom młodzieńca, potem ścieli kilka grubych gałęzi, i zrobiwszy z nich na prędce mary, wzięli z sobą ciało nieżywego do wsi. Przyszedłszy jednak do mostu, który niedaleko ode wsi łączył brzegi małego strumyka, spostrzegli zdziwieni, że ciało umarłego znikło nagle z mar. Za radą wójta powrócili wszyscy do lasu, a pod dawnem drzewem zastali trupa Anima nietkniętego z miejsca. Po krótkim namyśle wzięli go znowu na mary, lecz i tą razą zniknął na moście w nieodgadniony sposób. Dopiero gdy po raz trzeci wrócili do lasu, trup podniosł się cokolwiek z miejsca, i przemówił ludzkim głosem:

— „Na próżno probujecie unieść mię z tego miejsca, ja nie mogę spoczywać na cmentarzu, na który mię zanieść chcecie. Pozostawcie mię w spokoju; skoro księżyc pojawi się na niebie, zaradzę sobie bez niczyjej pomocy.“

Po tych słowach upadł znowu na ziemię, i pozostał martwy i nieruchomy. Wieśniacy powrócili do wsi, a tylko Ragon i kilku najserdeczniejszych przyjacioł nieboszczyka pozostali przy trupie, i paląc cygara czekali wschodu księżyca.

Niezadługo też ściemniło się w borze i złocisty sierp księżyca wytoczył się na niebo. Animo leżał nieruchomy w cieniu dęba, aż dopóki żółte promienie nocnego stróża gwiazd nie oświetliły mu twarzy.

Wtedy rana u gardła zamknęła się sama przez się, a Animo podniosł się z ziemi prosty i sztywny, jakgdyby uciosany z drzewa. Dobył cygara z kieszeni, i zapaliwszy je o cygaro Ragona, zaśmiał się półgłosem, i odszedł w głąb lasu, nie odpowiadając na zapytania przyjacioł, i nie obzierając się poza siebie.

Nazajutrz udał się Ragon do wójta i opowiedział mu wszystko, co widział. Nie zadziwiło to starca bynajmniej, owszem mówił, że cały ten wypadek przewidział naprzód. Mimo to radził jednak Ragonowi, aby cożywo umykał w góry, bo panowie w departamencie nie uwierzą prawdzie, i postawią go pod sąd o zabójstwo Anima.

— „My wiemy wszyscy jak się cała rzecz ma w istocie, ale owych światłych panów w departamencie nie przekonałbyś niczem w świecie. Osądziliby cię na śmierć mimo twojej jawnej niewinności. Wolisz więc czas niejakiś ukrywać się w górach, aż cała ta sprawa zatrze się w pamięci, lub w inny jaki sposób wykryje się twoja niewinność.“

Słuchając rozsądnej rady wójta, schronił się Ragon jeszcze tegosamego dnia w góry. Od czasu do czasu tylko pojawiał się wieczorem we wsi, i brał udział w zwyczajnych rozmowach pod karczmą. Opowiadał wtedy że często we dnie i w nocy spotyka się z nieszczęśliwym przyjacielem. Milcząc przechodzi nieboszczyk wielkiemi kroki koło niego, a stąpa tak lekko że nie tylko najmniejszego nie słychać szmeru, ale nawet żadna trawka nie ugnie się pod jego krokami.

Pewnego wieczora przybył Ragon spiesznie do wsi, i nie zatrzymując się ani chwilki przed karczmą, zmierzył wprost ku chacie Rezy, dawnej kochanki Anima.

— „Rezo!“ — rzekł jej zaraz na wstępie. — „Dziś przemówił do mnie Animo, prosząc abym ciebie wyprowadził w góry, bo pragnie koniecznie widzieć się jeszcze raz z tobą.“

— „Co za wierne serce!“ — zawołała Reza rozczulona. — „Po śmierci nawet nie zapomniał o kochance.“

I mówiąc to, zarzuciła płaszczyk na plecy, i pospieszyła bez wahania w góry za Ragonem. Po całogodzinnej niespełna podróży, gdy ciemna noc rozpostarła się już po ziemi, stanęli na szczycie góry, na której miał ich oczekiwać Animo. Zastali go w sa-

mej rzeczy, otoczonego liczną rzeszą niedźwiedzi, pląsających dokoła niego przy blasku księżyca.

Przestraszyli się na ten widok przybysze, lecz prędko uspokił ich Animo.

— „Nie lękajcie się, oni wam nic nie zrobią“ — rzekł i wprowadził ich w koło zwierząt. — „Sąto dzieci Żyda Wiecznego, których muszę pilnować. Lecz wejdźcie do mojego mieszkania.“

Na to rozwarła się ściana góry, i wszystkie troje weszli do środka. On sam szedł lekko i swobodnie jak po podłodze, lecz za to Ragon i Reza utykali co krok o jakąś zaporę, a w końcu musieli przystanąć.

— „Dlaczegoż zatrzymujecie się?“ — zapytał Animo.

— „Nie widzimy nic zgoła, i utykamy co krok“ — odpowiedzieli oboje.

— „A prawda! zapomniałem“ — rzekł, i wrócił się nazad, pociągając za sobą swoich towarzyszów.

Między roślinami, rosnącemi na szczycie góry, wyszukał niebawem jakieś bezwonne żółtawe kwiatuszki. Uszczknął z nich dwa listki, i oddawszy je swoim towarzyszom, kazał im iść za sobą.

Zaledwie stanęli na nowo we wnętrzu góry, zapaliły się obadwa kwiatuszki jakby dwie świece, tak jasne szerząc dokoła światło, że podziemni wędrowcy widzieli najdokładniej nietylko każdy kamień pod nogami, ale i wszystkie źródła i bogate pokłady złota i srebra w dalekiem łonie góry.

Po półgodzinnej utrudzającej podróży stanęli wreście w ogromnej sali, wyłożonej białemi kruszcami i lśniącej tylą drogiemi kamieniami, iż cała przestrzeń pływała w świetle jaskrawem.

— „Tu możecie pogasić wasze kwiaty, będziecie ich potrzebować z powrotem“ — rzekł Animo.

Usłuchali oboje słów nieboszczyka, i pogasiwszy kwiaty, jak się gasi zwyczajnie świecę, czekali niecierpliwie, aż on sam przemówi, i wyjawi im, dlaczego powołał ich do siebie.

On jednak milczał uporczywie, pochylony w jakieś głębokie i smutne zamyślenie.

Wtedy Reza nabierając odwagi, ozwała się pierwsza.

— „Animo!“ — rzekła. — „Jeśli cierpisz jako dusza potępiona, tedy wyjaw nam środki, jakiemi moglibyśmy wyjednać ci przebaczenie u Boga.“

— „Dziękuję ci!“ — odparł Animo. — „Nie jestem duszą potępioną.“

— „Wiec jesteś zbawionym?“ — odważyła się Reza zapytać.

— „Nie, nie jestem zbawionym.“

— „Nie będąc ani zbawionym, ani potępionym, żyjesz jeszcze, jak się zdaje.“

— „Ja?“ — zapytał z uśmiechem Animo.— „Od dawna już nie liczę się do żyjących.“

— „Więc czemże jesteś na nieba!“ — zawołała Reza przestraszona — „jeśli ani umarłeś ani żyjesz.“

— „W tem cała tajemnica“ — odparł Animo z ciężkiem westchnieniem.

Po kilku chwilach grobowego milczenia, ocknął się z zadumy, i zwracając się żywo ku Rezie, przemówił uroczystym głosem:

— „Powiem ci teraz, dlaczego pragnąłem widzieć się z tobą. Kocham cię zawsze, i radbym widzieć, czy dotrzymując dawnych przyrzeczeń swoich, gotowa jesteś pojść za mnie.“

Mimo tak dziwnego i niepojętego stanu Anima, nie wahała się kochająca dziewczyna odpowiedzieć w sposób przyzwalający.

— „Muszę cię jednak uprzedzić“ — rzekł po chwili Animo stłumionym głosem — „że idąc za mnie, będziesz same nieżywe dzieci wydawała na świat.“

— „W takim razie cofam moje słowo“ — zawołała Reza.

— „Nie biorę ci tego za złe“ — szepnął Animo i wybuchł płaczem, któremu Reza głośnem odpowiedziała łkaniem.

Po chwili uspokoił się Animo, i otarłszy łzy, rzekł zwrócony do Ragona:

— „Kiedy Reza nie chce iść za mnie, musisz ty, drogi przyjacielu, mieć staranie o nią i moją starą matkę. Nie chcę abyś dłużej polował na niedźwiedzie, z których wielu do moich najbliższych liczy się krewnych. Musisz chwycić się innego zatrudnienia. Zostań przemytnikiem. Ilekroć zechcesz, góra ta otworzy się przed tobą, i w jednej godzinie dostaniesz się za granicę hiszpańską. Zyskasz tym sposobem w każdej podróży przynajmniej pięć godzin czasu, i nie będziesz się potrzebował obawiać strażników.“

— „Wybornie, wybornie!“ — zawołał Ragon radośnie.

— „Muszę ci jednak postawić naprzód pewien warunek konieczny“ — ciągnął Animo dalej. — „Wolno ci przemycać kawę, nigdy jednak tytoniu. Kawa jest ludziom niezbędna, nie masz też grzechu kupować i sprzedawać ją taniej choćby przekradając przez

granicę. Tytoń zaś jest tylko przedmiotem zbytkowym, nie każdemu potrzebnym człowiekowi.“

Ragon przystał chętnie na ten warunek, i pożegnawszy się z Animem, opuścił wraz z Rezą wnętrze góry. Gdy powrócili do wsi, świtał już jasny dzień.

Od tego czasu nikt już nigdy nie mówił z Animem, lubo wielu znajomych bardzo często spotykało go po drodze. Od ostatniej rozmowy z kochanką stracił na zawsze ludzką mowę, napróżno też poruszał ustami, spotkawszy się z kimś znajomym, pierś jego nie może już wydać ludzkiego głosu.

Nocną porą przechadza się po górach i skałach, a czasami przybywa do wsi, lecz wtedy jest niewidzialnym. Pewnego razu posłyszała Reza szmer pod oknami, a wychylając głowę, spostrzegła na ziemi parę trzewików, które niegdyś sama wyhaftowała dla Anima. Poznała natychmiast że on sam musiał być pod oknami, bo naraz trzewiki poruszyły się same przez się, a w powietrzu nad niemi pojawiła się mała, okrągła czapeczka, poruszająca i oddalająca się w jednym z niemi kierunku. Odległość między niemi a czapeczką przedstawiała właśnie wysokość postaci Anima.

Mrzonki filologiczne.

Z powodu pierwszych zeszytów przekładu Zendawesty przez profesora Ig. Pietraszewskiego, robi p. Papłoński w Bibliotece Warszawskiej następujące uwagi:

Zamiłowanie języka ojczystego doprowadzone aż do pogardzania mowami obcemi, duma narodowa zbyt wygórowana, bo każąca uważać swój naród za najdawniejszy i najszlachetniejszy na świecie, nadawały zawsze fałszywy kierunek pracom uczonych słowiańskich, którzy się nad pochodzeniem języków zastanawiać chcieli. Dawne czasy i przeszłe wieki zostawiam w pokoju; wtedy bowiem ze zwyczaju każdy historyk najlichszego kraju zaczynał swą historyę co najmniej od Noego i lud swój wyprowadzał w prostej linii od jego synów i ma się rozumieć od Jafeta, lub jego dzieci i wnuków. Kadłubek czyli raczej Mateusz rozradowany, że nazwa Jawana syna Jafetowego bardzo podobna do Iwana, od tegoż wywodzi początek swego narodu i potomków jego różnemi drogami aż do Krakowa prowadzi, a mając Scytów za Słowian, wszystko co gdzie o Scytach wyczytał, Polakom przypisał. Lengnich Lachów od Lazów, mieszkańców Kolchidy wyprowadza, a inni od innych, że nie wspomnę o znakomitych nawet pisarzach: Janie Potockim, Wadze, Albetrandym. Przydomek dany przez Euzebiusza Illiryi bardzo się podobał Illiryjczykom i dalejże krzyczeć po świecie, że Słowianie dzisiaj Illiryą zamieszkujący, sąto potomkowie tych samych Illirów, o których i bizantyńscy i łacińscy piszą kronikarze, że język illiryjski, czyli co jedno i to samo, słowiański, jest językiem najdawniejszym na kuli ziemskiej; że jest matką wszystkich istniejących narzeczy; że sam Bóg w niebie i Adam w raju po słowiańsku mówili. Appendini w 1806 r. wydał dzieło: „de praestantia et vetustate linguae illyricae, ejusque necessitate ad plurimarum gentium populorumque origines investigandas“ (tojest o zaletach i starożytności języka illiryjskiego i o jego konieczności do zbadania początków mnóstwa plemion i narodów); i dalejże porównywać ze słowiańskiemi odkopane w starych rękopismach słowa macedońskie, trackie, scytyjskie, wandalskie, i dowodzić, że wszystkie te narody mówiły po słowiańsku; mało tego, ile tylko było ludów w starożytności, wszystkie bez wyjątku mówiły czystym lub zepsutym słowiańskim dyalektem; bóstwa mitologiczne w illiryjskim tylko swe objaśnienia znajdują: Bacchus od *Bóg*, lub jak Dębołęcki wyprowadzał od *Beczkos*, bo na beczce siedział. Semele od Semlia (ziemia). W tej słowianomanii Appendini miał mnóstwo naśladowców. Hrabia Sorgo z Raguzy w rozprawie swojej: Mémoire snr la langue et les moeurs des peuples Slaves, zaszedł jeszcze dalej, *Sanskryt* objaśnił przez *um-skryty*, samego Jehowę przez *je* (jest) i *owy*, *Nabuchodonozora* przez *nam bucho dano zor*, tojest tyle co *nam od Boga dany car*; *uranusa* od uranić. Cocytto (Venus plebeja) *od kocenia się* i t. d., a język scytyjski czyż mógł nie być słowiańskim, kiedy dochowane z niego wyrazy najdokładniej na to pochodzenie wskazują; naprzykład scytyjskie *Spu*, oko, w najczystszym jest związku ze słowem: *spać*, tojest *oko zmrużać*. Ale dość tych bredni; na ówczesny stan filologii słowiańskiej nie byłoto zbyt rażącą przesadą. Gorsza daleko, że dziś jeszcze podobne wywody się przytaczają. Nawet Mickiewicz błędu tego nie uniknął, i w jednym ze swoich Kursów literatury słowiańskiej zupełnie też same co Appendini błędy etymologiczne powtórzył. Jednocześnie inny poeta słowiański Kollar, zbierał materyały do

dzieła swego wydanego w r. 1853 (Staroitalia Slavjanska), w którem usiłował dowieść, że Włochy były zaludnione pierwiastkowo przez Słowian, którzy morzem i lądem od zachodu i wschodu, od południa i północy weszli do Italii, a ztąd od czasów najdawniejszych i aż do dnia dzisiejszego pozostały tam ślady słowiańszczyzny. Na północy Italii panował podług Kollara język słowiano-etruski, na wschodzie słowiano-umbryjski, we Włoszech środkowych słowiano-łaciński i słowiano-sabiński, na południu słowiano-oński. Na tej zasadzie wszystkie starożytne pomniki pismienne półwyspu apenińskiego Kollar słowiańskim objaśnia językiem, a germański fantastyk Auerbach niemieckim. Praca Kollara niewysłowiona, wydanie dzieła okazałe, ale cóż, kiedy nauka filologii lub etnografii żadnej a żadnej z niego korzyści odnieść nie może. Ale jeszcze i ten czas uważam za odległy; oto wszystkiego przed dwoma laty Gazeta Codzienna zamieszczała w swych kolumnach artykuły cyframi A. R. podpisane, w których brednie etymologiczne doszły już do najwyższego stopnia zboczenia, wreście i dwóch lat nie potrzeba: przed rokiem miałem w ręku obszerny wolumen do druku przeznaczony, w którym autor wbrew zdaniu Kollara, Słowian z Italii od Osków wywodzi, a za dowód przytacza nawet imiona własne, na *ski* zakończone. Pamiętam jeden przykład: nagadawszy się dosyć o *Oskach*, *Eskach*, autor powiada: weźmy naprzykład nazwisko Popławski, czyż ono nam dostatecznie nie wykazuje swym składem, że rzekę *Po* w *pław* przebyli *ski*, tojest *Oski*. Na szczęście rękopism pozostał w ukryciu: widać nie znalazł odważnego przedsiębiorcy.

W tym samym duchu wyszła w Moskwie w r. 1855 książka w języku rosyjskim pod tytułem: Примѣры всесвѣтнаго славянскаго чаромантія астрономическихъ выкладокъ i t. d. przez Łukaszewicza; książkę tę autor rozesłał *nieznajomym* darmo, bo znajomi i przyjaciele zapewne zapłacić musieli, i z niej wnioskujemy, że uczony i głęboko myślący filolog zbadał wszystkie języki świata, i doszedł, że każde słowo jakiegokolwiek narzecza, przekręcone z przestawieniem spółgłosek, samogłosek, dodaniem, obcięciem niezawodnie się znajdzie w jakim języku Europy, Azyi, Afryki lub Ameryki. Prócz tego autor przedsięwziął dowieść, że we wszystkich językach słońce znaczy *władzę* i liczbę *pięć*, a ziemia liczbę *trzy* i przytoczył mnóstwo na to przykładów z podobieństwa dźwięków; ale *chef d'oeuvre* jest jego objaśnienie alfabetu greckiego słowiańskim językiem: *alpha* znaczy o chwała! *beta* czyli po rejchlińsku *wita* przez przestawienie zgłosek znaczy diwa, dziewa, *delta* zamiast *dla tia* dla ciebie, *theta*, dzieci i t. d. Nie dotykałbym tego przedmiotu, gdybym nie wiedział, że pewien uczony z niej czerpie filologiczne natchnienie i niestety podobno już prasę męczy. Zdziwi się czytelnik zapewne, dlaczego raczej nie wykazuję prawdziwego postępu filologii; mażto być właściwą przedmową do nowej pracy p. Ignacego Pietraszewskiego? Odpowiadam, niestety! *cel* tej nowej pracy jest dalszym ciągiem badań wyżej wspomnianych....

ZAŚLUBINY ŻYWIOŁÓW.

Gdy wielki duch dokonał już dzieła stworzenia, umyślił poruczyć zwierzchnictwo nad światem czterem wszechwładnym namiestnikom. Pragnąc sam użyć wypoczynku, przywołał cztery pory roku, i przydzieliwszy każdej pewien stały przeciąg czasu, zlał na nie wszystką władzę swoją. Zająwszy nowe stanowisko, poznali niebawem dostojni namiestnicy, że chcąc ulżyć sobie brzemię panowania, potrzeba oglądnąć się za odpowiedniemi towarzyszkami życia. Przylgnęły najsilniej do tej myśli Wiosna i Jesień, zgodziło się z nią gorące Lato, a sama nawet leniwa Zima nie opierała się małżeństwu.

I chciał szczęśliwy przypadek, że tuż zaraz nawinęły się cztery siostry, pragnące pójść za mąż w jak najkrótszym czasie. Ku nim też skłoniły pory roku chęci swoje, a przejęte z otwartemi ramionami, dobrały sobie wkrótce upragnionych małżonek.

Cztery siostry byłyto cztery żywioły. Wesoła Wiosna upodobała sobie najwięcej z nich lotne i nadobne Powietrze, poważna Jesień przylgnęła sercem do tkliwej i statecznej Ziemi.

Wiosna i Powietrze pobrały się najpierwej, i wiodły życie bez troski i trudu, opływające w wesołość i swobodę. Powietrze służyło mężowi jak przystało na dobrą żonę, kiedy był w wesołym humorze, to tak lubem i wonnem obwiewało go tchnieniem, że pola i łąki, drzewa i kwiaty odżywały na ziemi, a ludzie i zwierzęta orzeźwiały się jego powiewem; gdy przeciwnie jakie umartwienie skołatało umysł małżonka, to w smutku tak dziką i srogą huczało burzą, że najsilniejsze

drzewa wyrywały się z korzeni, a przestrach ogarniał ludzi i zwierzęta. Przy tem wszystkiem żyli oboje małżonkowie zawsze w jaknajlepszej zgodzie, i wydawali na świat niezliczone roje stworzeń, których pielęgnowanie i wyżywienie spadało zwyczajnie ciężarem na przyszłych następców w panowaniu. Byłato parka nieco za lekkomyślna i swawolna, ale niemniej przeto lubiona i podziwiana.

Nieco odmienne było pożycie Jesieni z Ziemią. Melancholijna i kapryśna Jesień znalazła w Ziemi małżonkę czułą i pobłażliwą, która jej wszystkie dziwactwa z cichem znosiła poddaniem się, i nawet wtedy nie wybuchała słusznym gniewem, kiedy małżonek w napadzie złego humoru najcelniejsze jej niweczył nadzieje i własne płody prześladował srogiem zniszczeniem. Mimo to wszystko spłynęły z tego stadła niezliczone dobrodziejstwa na świat i ludzi. Szczodrą ręką sypało ono wszystkim swoje dary nieprzebrane, nie troszcząc się wcale o czarną niewdzięczność świata, który zachwyca się i unosi Wiosną, a nie pomni na dobrodziejstwa Jesieni, utrzymująoej go właściwie przy życiu.

Osobliwsze koleje przechodziło Lato w stanie małżeńskim. Wybór jego padł na Ogień. Oboje kochali się z początku namiętnie, przekonani że tylko jedno dla drugiego stworzone. Wszakże wzajemna ich namiętność doszła do tak wysokiego stopnia, że omal całe dzieło stworzenia nie przyprawili o zgubę. Wszystko się pomieszało, nieład i nieporządek zatrząsł całą naturą. Palmy wzrastały w najzimniejszych okolicach górzystych, słonie i tygrysy uchodziły z gorących krajów, szukając ochłody w dalekiej północy, a mieszkańcy południowej Afryki opalili się na węgiel po wieczne czasy. Na szczęście nie mogła tak nieumiarkowana namiętność zachować się w długie lata. Niebawem przekonali się oboje małżonkowie, że związek ich był wcale niestosownym, i wkrótce też rozłączyli się na zawsze. A byłto już ostatni czas do rozwodu, cały świat musiałby przy dłuższem pożyciu namiętnych małżonków spalić się na popioł.

Leniwa, lodowata Zima nie myślała wyrywać sie z spokoju i spieszyć w zaloty w ślad za resztą swoich towarzyszy. Potrzeba było, aby przyszła małżonka sama rzuciła mu się w ramiona. I tak też się stało w istocie. Wesoła, szczebiotliwa Woda nie chciała długo pozostać niezamężną, widząc jak prędko trzy starsze siostry dobrały sobie mężów. Nie zastanowiwszy się też nad swoim krokiem, ofiarowała się sama leniwej i nieczułej Zimie.

Lecz i tych obojga związek nie był szczęśliwym. Wesoła i żywa Woda ścięła się w ramionach Zimy w skaliste bryły śniegu i lodu, przez co znowu tak silne mrozy dojmowały światu, że jak niegdyś dla zbytniego gorąca, tak teraz dla zbytniego zimna całej naturze zagrażała doszczętna zagłada.

Nieszczęśliwa w nadziejach swych zawiedziona Woda, powzięła teraz nieprzebłaganą nienawiść ku nieczułemu mężowi, i uciekła się o pomoc do rozwiedzionego Lata. Można się spodziewać że jaknajserdeczniejszego doznała przyjęcia. Przepalone namiętnością Lato pożądało ochłody, i uniosło Wodę przemocą z ramion Zimy. Tylko u biegunów i na najwyższych szczytach gór udało się Zimie przytrzymać szaty uciekającej małżonki.

Uparty i burzliwy Ogień nie miał już spokoju od czasu swojego rozwodu z Latem. Posłyszawszy o rozłączeniu się Zimy i Wody, pospieszył cożywo do wzgardzonego małżonka, oświadczając mu najgorętszą miłość swoją. Lecz ze wzgardą odepchnęła go Zima, zrażona świeżem wiarołomstwem Wody.

W taki sposób tylko Zima i Ogień pozostali samotni i niezadowolnieni w świecie, a nie mogąc się znieść wzajemnie podzielili się w panowaniu, i działają na przekor jedno drugiemu. Kiedy Zima w złym humorze cały świat chciałaby otrętwić i zniszczyć srogiemi mrozami, wtedy właśnie Ogień jaknajweselej bucha w kominku, i ogrzewając zakrzepłe członki ludzkie, przygaduje wesoło: „Nie troszcie się o tego starca zatwardziałego, ja was ochronię od jego gniewu. Niech białym szronem obiela okna, aby nie widzieć mego płomyka, niech klnie i sarka na moją zuchwałość, ja mu przecież w każdym razie mężnie postawię czoło i zrobię na przekor jego woli."

I przy tych słowach coraz jaśniejszym wybucha płomieniem, i w swawolnej igraszce czerwoniawym blaskiem opromienia bladą twarz zagniewanej Zimy.

Los polskich małżonek jest godnym pozazdroszczenia. W Rosyi istnieje przysłowie, dowodzące jak pomyślnem wydaje się położenie naszych kobiet Rosyanom. Chcąc poskromić upor żon swoich, przymawiają im zwyczajnie: *Ty nie w Polszcze żena. — Ty nie lutsza mienia.* (Tyś nie w Polsce żona, tyś nie lepsza odemnie.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.